

Wiesław Władyka, Zbysław Rykowski

Syndrom "Polityki"

Kwartalnik Historii Prasy Polskiej 27/1, 85-100

1988

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

ZBYSŁAW RYKOWSKI (Warszawa)

WIEŚLAW WŁADYKA (Warszawa)

SYNDROM „POLITYKI”

O historii „Polityki” książkę napisał Michał Radgowski, jeden z współtwórców jej sukcesów. Obroniono kilka doktoratów, pojawiło się wiele artykułów, relacji, obrachunków. Na trzydziestolecie pisma przygotowaliśmy swoją wersję jego dziejów, która została przy pewnych skrótach i retuszach opublikowana w „Polityce” pt. *Realia, panowie, realia!* Tutaj pomieszczamy pełny tekst.

Zdajemy sobie sprawę z ograniczonego zasięgu tej próby. Pisanie historii pisma tak ważnego, opiniotwórczego i tak politycznego jest zadaniem dlatego między innymi trudnym, iż w naszej historiografii nie ma do tej pory żadnego poważniejszego opracowania dziejów polityki, społeczeństwa czy kultury ostatniego trzydziestolecia. Takim próbom grozi ponadto niebezpieczna aktualizacja, przenoszenie dzisiejszych sposobów myślenia na wczorajsze, żywe jeszcze w świadomości społecznej. Historykom znane są też zagrożenia wynikające z doświadczeń uczestnictwa — trudno jest bowiem obiektywnie opisywać wydarzenia, których było się bądź zaangażowanym świadkiem, bądź właśnie aktywnym uczestnikiem. Tym należy wytłumaczyć pewne nuty osobiste widoczne w tekście.

Pojawia się również problem metodologiczny, stary jak stara jest historia prasy. Jaką znaleźć relację między wytworem prasowym, zszywkami gazet, a historią ogólną polityki i społeczeństwa? Czy odpowiedzi na pytania nasuwające się przy lekturze starych numerów szukać przede wszystkim w piśmie, czy jednak poza nim? Staraliśmy się tak rozumieć dzieje „Polityki”, by bardziej zrozumiała stała się historia Polski lat 1957—1987. I odwrotnie. Ta metoda jest zapewne dyskusyjna i jest też ułomna — w końcu „Polityka” to tylko jeden z wielu punktów obserwacyjnych.

*

Pismo odebrane zostało jako przejaw odejścia Gomułki od Października, zdrada rewolucji. „Polityka” była pismem urzędowym, by nie powiedzieć — namaszczone przez władzę. Świadczył o tym skład redakcji, w którym roiło się od członków KC i ludzi z aparatu. Redaktorem naczelnym został minister szkolnictwa wyższego Stefan Żółkiewski. Towarzyszili mu wypróbowani działacze: Franciszek Blinowski, Leonard Borkowicz, Romana Granas oraz Stanisław Kuziński — sekretarz Komitetu Warszawskiego, Jerzy Putrament — człowiek partii w literaturze, Mieczysław F. Rakowski — pracownik Wydziału Propagandy KC, Adam Schaff — główny marksisista i Andrzej Werblan — kierownik Wydziału Propagandy z KC. Blasku stopce dodawali jeszcze Władysław Broniewski, Leon Kruczkowski i Oskar Lange. Zwyczajni ludzie bez stanowisk (Leon Cieślak, Witold Dąbrowski, Elżbieta Górską, Zygmunt Kałużyński, Ryszard Koniczek, Kazimierz Koźniewski, Józef Kuśmierk i Michał Radgowski) byli w mniejszości.

Jak więc widać, na XI piętrze Pałacu Kultury, w pokojach redakcyjnych, rozlokował się sztab tzw. frontu ideologiczno-propagandowego. Głos „Polityki” musiał być odbierany jako głos samej władzy. A ta „Polityka” mówiła, że Październik to nie żywioł, nie spontaniczny ruch mas, nie Hyde Park, lecz zborne, jednolite, zdyscyplinowane działanie. To poczucie odpowiedzialności, zrozumienie nakazu podporządkowania się kierownictwu partii. To linia Gomułki — nie mniej, ale i nie więcej.

Krytykowanie i postulowanie, rewindykacje materialne i polityczne — to wszystko, co kruszyło stary system i wymuszało zmiany, dobre było przed Październikiem. Przestało być dobre już w listopadzie, gdy nowa władza musiała zacząć rządzić.

„Wiele z tych artykułów — wyjaśniał Gomułka — które ukazywały się w prasie przed VIII Plenum, krytykując czy to kierownictwo partii czy metody jego pracy, było na pewno dobrą robotą i spełniło dobrą rolę, przyczyniło się do tego, co w późniejszym okresie nastąpiło. Ale równocześnie ta sama robota czy podobna, w podobnych artykułach — napisanych po VIII Plenum, kiedy sytuacja już była inna — bezwarunkowo mogła wywołać i wywoływała szkodliwe konsekwencje”. Dziennikarze, którzy stali się trybunami i bohaterami publicznymi, którzy uwierzyli w swoją misję, nie mogli jakoś zrozumieć, że sytuacja się zmieniła. Uznawali VIII Plenum za kompromis i żądali „dopełnienia rewolucji”. Zajęci wyszukiwaniem „mateczników stalinizmu” i demaskowaniem konserwy („Wyjąć konserwę z puszki” — wołali w „Po prostu” Mieczysław Górski i Jerzy Urban), nie chcieli i nie umieli przejść do konstruktywnej pracy. „Trzeba będzie dziennikarzom wyperswadować — zalecał I sekretarz — bzdurną myśl, że oni są jakimś drugim, równorzędnym, czy nawet ponad kierownictwem partyjnym stojącym czynnikiem. Bo tym oni nie są i być nigdy nie mogą [...]. Obserwujemy, że najłatwiej wypłynąć na fali żądań, na fali demagogii. To się czyta, to się przyjemnie czyta, to jest popularne. I wielu dziennikarzom wydaje się, że są działaczami, że wszystko jest właśnie ich dziełem. Jestem bardzo ciekaw, co by się z tym państwem stało, gdyby tych dziennikarzy posadzić w Biurze Politycznym KC czy w rządzie i powiedzieć: rządzcie, towarzysze. Za dwa tygodnie by się wszystko wywróciło. I musiałoby się wywrócić”.

„Polityka” miała propagować Gomułkowską interpretację przemian, miała zwalczać tych, którym było mało, i tych, którzy sądzili, że Gomułka posunął się za daleko. Nie wszyscy w obozie „zwycięzców” rozumieli tak samo te same słowa, nie wszystkim chodziło o to samo. Gomułka i liberałowie z aparatu już wygrali, swoje przeprowadzili, teraz widzieć będą przede wszystkim zagrożenia nowej polityki, jej realne ograniczenia i konieczności. Normalny to proces, któremu podlegają ci, którzy z opozycji przechodzą do władzy. Gdy w Polsce zdaje się, że wszystko jeszcze można, na Węgrzech leje się krew. Zmieniają się priorytety Gomułki i jego ekipy. Najważniejszy jest teraz spokój, uzyskanie zdolności rządzenia, stworzenie zdyscyplinowanej armii politycznej, która zaprzestanie dyskusji, a zacznie działać. Rozchodziły się drogi Gomułki i wielu jego październikowych zwolenników ze środowisk inteligenckich i młodzieżowych, których dążenia najlepiej wyrażało „Po prostu”. Oni żyli ciągle wartościami i ideami, dosłownie, fundamentalnie rozumieli hasła ludowładztwa i wolności. Nic więc dziwnego, że ciągle było im mało.

Irytowali Gomułkę. Ten wiedział, na czym polega władza. Miał swoją miarę możliwości i swoje wyobrażenia o granicach demokratyzacji. Wyobrażenia tego nie zmienił zresztą nigdy, co m.in. stało się przyczyną jego późniejszej klęski.

„Polityka” właśnie miała wyznaczać miarę tego, co można. Miała bronić Października przed natolińską konserwą, ale też przed roszczeniami „wściekłych”. Sytuowała się więc w centrum. Ludzie, którzy ją tworzyli, rzeczywiście serio traktowali

hasło walki na dwa fronty. Rzeczywiście nie cierpieli Natolina. W tym bliscy byli „Po prostu”. „Chcemy budować socjalizm, który się lubi” — tym zdaniem zaczynał programowy wstępniak. Myśleli jednak bardziej realistycznie, by nie powiedzieć cynicznie. Doświadczenie polityczne podpowiadało im orientację na Gomułkę — w nim odnajdywali ideową przyzwoitość, ale i polityczne bezpieczeństwo. Ma rację Michał Radgowski, który w swojej książce „*Polityka i jej czasy*” wskazuje, że takie usytuowanie się w centrum było wyborem taktycznym. „Po prostu” nie chciało jakby respektować zasad logiki procesu historycznego. Nie rozumiało, że po przesileniu musi nastąpić normalizacja, że trzeba się albo podporządkować, albo zejść z areny. „Polityka” rozumiała to doskonale. Nie kłóciła się z „Po prostu” o zasady, lecz o metody. Był to jednak w istocie spór zasadniczy — tamci patrzyli z dołu, ci z góry. Tamci tak wyprzedzili rewolucję, że nie zauważyli jej wygaśnięcia, ci postawili na Gomułkę i politykę realną.

Walka rzeczywiście toczyła się na dwóch frontach. Nie miały one jednak takiego samego znaczenia. Natolin, który w Październiku stanowił realne zagrożenie, już dogorywał, przestał być niebezpieczny, tym bardziej że nigdy zresztą nie cieszył się poparciem społecznym. Inaczej rzecz się miała z tym nurtem październikowym, który zyskał miano rewizjonistycznego. Był on żywotny, skupiał wielu profesorów, pisarzy, dziennikarzy, przyciągał młodzież. Miał w tym momencie swoją polityczną rację Gomułka, gdy uznał go za bardziej niebezpieczny dla siebie i swego ładu. Chociaż nie rozumiał, że w ten sposób tworzy zaczątki następnego kryzysu.

„Nowe pismo — wspomina Michał Radgowski — poprzedziła fama organu »zamordystowskiego«; puszczano na ten temat drobne i większe złośliwości, gubiono się w domysłach, co z tego wyniknie”. Jak mówił dowcip, do boju szła „pierwsza kadarowa” pod buławą Żółkiewskiego. Przypomnijmy, że nazwisko Kadara wywoływało wówczas jednoznaczne skojarzenia. Nie miała „Polityka” dobrej prasy, bo prasa — przynajmniej ta kulturalna i młodzieżowa — „szła na całość”. Bez entuzjazmu odnosił się też do niej redukowany właśnie i reorganizowany aparat, który podejrzewał ją o koneksje z makiawelistyczną grupą puławian.

Walka z Natolinem nie była czymś oryginalnym — wszyscy walczyli z konserwą. Tożsamość nowemu pismu dawał konflikt z „Po prostu”. Po czterech miesiącach utarczek, złośliwości i podjazdów „Po prostu” nie wytrzymało. W artykule redaktora naczelnego Ryszarda Turskiego dało, zgodnie ze swoim zwyczajem, całościową — by tak rzec — analizę nowego zjawiska.

„Lektura 17 pierwszych numerów »Polityki« — pisał Turski — sprawia na mnie nieodparte wrażenie, że pismo nie jest integralnym, aktywnym uczestnikiem masowego ruchu odnowy, lecz jego egzaminatorem, stróżem czy opiekunem — w każdym bądź razie czymś nie wewnętrznym, lecz zewnętrznym wobec niego”.

Ciężki zarzut... Przecież kto nie był za Październikiem, ten był za restauracją starego porządku. „Polityka” nie mogła się nie obruszyć. „Fałszywy kierunek natarcia” — odparowali Mieczysław F. Rakowski i Michał Radgowski. W artykule pod tym właśnie tytułem z zadziwiającą dzisiejszego czytelnika szczerością wyłożyli filozofię swego pisma. To nie dziennikarze i studenci robią politykę. Nie wystarczy mieć rząd dusz, trzeba jeszcze rządzić. A rządzić może tylko partia i jej aparat: „Uważamy, że pełne i szczerze zaangażowanie się po stronie programu politycznego kierownictwa partii jest najwyraźniejszym działaniem komunistów polskich na rzecz odnowy”. Zdaniem Rakowskiego i Radgowskiego: „Przeciwstawialiśmy się pewnym tendencjom »Po prostu« polegającym na potępianiu w czambuł pracowników aparatu [...] przedstawianiu ich jako nieuleczalnych dogmatyków”. „Po prostu” robi złą robotę także dlatego, że zraża aparat.

„Polityka” dobrze rozumiała Gomułkę; potrzebne mu były sprawne instrumenty władzy, zdyscyplinowana siła polityczna. Teraz nie zabiegał już on o poparcie spo-

łeczne, przekonywał do siebie funkcjonariuszy z województw, powiatów i gromad, ministerstw i centralnych zarządów. Teraz pozyskiwał także tych, którzy mieli powody, by nie lubić Października. A „Po prostu” ze swoimi rozliczeniami, krytykami, praniem brudów przeszkadzało mu. „Polityka” od początku wiedziała lepiej: „Obca była nam metoda wydobywania jedynie typów negatywnych, odpychała ona bowiem od nowej linii partii tysiące uczciwych aktywistów. [...] Gromkie nawoływania »Po prostu« przeciwko konserwie partyjnej pozbawione rzetelniejszej analizy politycznej prowadziły nierzadko do napędzania dogmatykom niepotrzebnych zwolenników”. Rakowski i Radgowski krytykowali „miedoważenie polityczne” „Po prostu”, byli jednak wobec niego łaskawi: „Sądzimy, że w walce o realizację październikowej linii partii mieści się zarówno »Po prostu«, jak i »Polityka«.

Jest miejsce dla „Po prostu”, ale pod warunkiem, że „Po prostu” się zmieni. Nie bardzo ma jednak na to szansę, ponieważ jest na urlopie — redakcja postanowiła przerwać wydawanie pisma w czasie wakacji.

Wracających z wakacji studentów przywitała decyzja Sekretariatu KC o „zawieszeniu” wydawania „Po prostu” (tak się nazywała likwidacja pisma). Studenci odpowiedzieli demonstracjami ulicznymi, doszło do starć z milicją. „Polityka” w artykule wstępnym przekonuje swoich czytelników, że te wydarzenia nie są bynajmniej przejawem odwrotu od Października. Wyraża żal, że „Po prostu” nie zrozumiało nowej sytuacji politycznej, że „w nowych warunkach kontynuowało starą linię”. „Totalna negacja” sprowadziła je na pozycje „likwidatorskie i „opozycyjne”. „Decyzja kierownictwa partii wskazuje, że nie będą tolerowane żadne grupy w partii, obojętne z jakiej strony występujące, grupy, które obojętne z jakich pozycji występują przeciwko programowi, przyjętemu w Październiku”.

Rozwiązanie „Po prostu” zakończyło okres październikowej burzy i naporu...

W pierwszych dwóch latach „Polityka” sprzedaje się bardzo marnie. Radgowski przypomina, że pierwszy numer kupiło 11 tys. czytelników, w 1958 r. sprzedawano przeciętnie 13 tys. egzemplarzy, potem 18 tys. Mało, jeśli porówna się to z „Po prostu”, które przed rozwiązaniem miało 150 tys. nakładu i rozchodziło się bez zwrotów. „Polityka” była strasznie mentorska, przemawiała *ex cathedra*, przynudzała — ulubioną jej formą dziennikarską była wówczas tyrada. Była pismem bardziej dla wtajemniczonych niż dla zwykłych ludzi, bardziej była pograżona w sporach ideologicznych niż zanurzona w żywym życiu.

Redaktorzy „Polityki” zdają się to rozumieć. Uczą się robić gazetę. Tak się przy tym składa, że ojcowie założyciele odchodzą, grube ryby odpływają na swoje katedry i do swoich wydziałów, przychodzą młodzi dziennikarze. Numer 64 z 17 maja 1958 r. ukazuje się już pod redakcją nowego naczelnego Mieczysława F. Rakowskiego. On na dobre związał swoje ambicje z pismem — sam dużo pisze, szuka nowej formuły, poszukuje nowych współpracowników. Do „Polityki” stopniowo przychodzą: Marian Turski, Dariusz Fikus, Andrzej Krzysztof Wróblewski, Jerzy Kleer, Daniel Passent, Tadeusz Pasierbiński, Ryszard Kapuściński, Henryk Zdanowski, Zygmunt Szeliga, Tadeusz Drewnowski, Jerzy Urban, Stanisław Bielecki, Józef Śmietański i inni. Byli bardzo różni. Z nich utrząsie się ten zespół, który będzie robił „Politykę” przez dwadzieścia lat.

Młodzi redaktorzy „Polityki” znali swoje pokolenie i czuli jego potrzeby. Przeszli z nim Październik, z nim zaczęli pierwszą pracę. Wiedzieli, że po czasie wiecowania przyszedł czas zakładania rodzin, czekania na mieszkanie, konfrontacji teorii z życiem. A życie stawiało opór ambicjom. Bo życie, jak się okazało, to także zastałe układy, głupi szefowie broniący swoich stołków, przepisy blokujące inicjatywę, to prowincjonalizm, zaścianek... „Polityka” intuicyjnie szuka kontaktu z inżynierami, którzy spakowali swoje książki i z akademika ruszyli w kraj, z nauczycielami, którzy kiedyś zakładali Kluby Młodej Inteligencji, z dyrektorami, którzy wierzyli w reformy.

I oto w pierwszych latach sześćdziesiątych doszło do paradoksalnej, zdawałoby się, sytuacji. „Polityka”, obwiniana w 1957 roku o poprowadzenie odrotu od Października, stała się pismem najlepiej reprezentującym szkołę myślenia październikowego. Oczywiście, w ramach istniejących możliwości. A one mają różne swoje ograniczenia. Przede wszystkim te, które wynikają z usytuowania w systemie władzy i propagandy, ale także te, które by można nazwać sytuacyjnymi, które określają nie strategię, lecz taktykę. Krytyka tak, propozycje zmian tak. Ale trzeba uważać, postępować rozsądnie, skutecznie, wiedzieć, kogo i czego nie można ruszyć. „Realia, panowie, realia!” — zwykł mawiać Rakowski, gdy jego koledzy rozpędzali się za bardzo.

Realizm to nie tylko rozumienie realiów władzy, to także rozumienie rzeczywistości społecznej. A więc — jak i czym ludzie żyją, o czym myślą, czego chcą, jak chcieliby żyć. „Polityka” nastawia uszy na dwie strony: chce być dobrze z władzą, ale i z czytelnikami. Jest oczywiście medium propagandowym, ale mówi do swoich odbiorców własnym głosem, traktuje ich jak dorosłych. Reprezentuje władzę, staje w jej imieniu, ale też nie traktuje jej bezkrytycznie, wnosi propozycje, zwraca uwagę na odstępstwa od zdrowego rozsądku i od zasad. Nie buntuje się, raczej stara się perswadować. To właśnie różni ją od dawnego „Po prostu”; upodabnia zaś wyobraźnia socjologiczna, umiejętność odkrywania problemów społecznych. Wielu uznawało ją za sukcesorkę „Po prostu”. Była to opinia li tylko wrażliwiowa.

„Polityka” jest wierna swojej filozofii politycznej — swoistemu pozytywizmowi socjalistycznemu, zmienia się jednak jej rola. Nie prowadzi już walki na dwa fronty, bo nie ma frontów. Teraz jest czas „małej stabilizacji”, życia „za te polskie dwa tysiące”. Gomułka traci swój rozpęd, poddaje się buchalterii także w polityce. A pismo jest w szwungu. Chce i próbuje być nowoczesne, otwarte na świat. Chce Polskę modernizować i cywilizować, chce odrytualizować życie publiczne.

Musiała dojść do konfliktów. Ich bezpośrednie powody wydają się nam dzisiaj dziwne. A to chodziło o jakiś fragment artykułu Romany Granas, który teraz uznalibyśmy za nowomowę, a to o felieton Jerzego Andrzejewskiego krytykujący karę śmierci. Raz był to pamflet Urbana na dr. Marcinkowskiego, działacza antyalkoholowego, innym razem przyrównanie przez Rakowskiego „Polityki” do „Spiegła”, a jeszcze innym reportaż Krystyny Zielińskiej ośmieszający rzeszowskich działaczy, którzy poddali ekspertyzie grafologicznej inskrypcje na drzwiach klozetowych. W 1500 numerze „Polityki” przypomniano inkryminowane artykuły Urbana, Andrzejewskiego i Zielińskiej. Trudno uwierzyć, że te teksty zachwiały pismem. A jednak tak było. Darmo by szukać śladu tamtych konfliktów w starych zsywkach, miały one charakter dworsko-gabinetowy. Dla historii zarejestrował je Radgowski. Każdy z tych pretekstów stawał się dla Gomułki jakoś osobiście ważny. Zaciętrzewiał się do tego stopnia, że zakazał Urbanowi pisania, a po Andrzejewskim kazał zawiesić Rakowskiego jako redaktora naczelnego. Koniec końców konfliktu umocniły jednak Rakowskiego i „Politykę”. Znalazł on drogę do Gomułki, przekonał do siebie. Nadal jednak redagowanie pisma starającego się przemawiać swoim głosem było poruszaniem się na polu minowym. Tym bardziej że zmieniał się układ sił we władzy, drogi „Polityki” i polityki rozchodziły się. Symptomatyczne, iż decyzyjnie o zawieszeniu Rakowskiego kierownik Biura Prasy KC Artur Stawewicz uzasadnił tym, że „Polityka” „chce prowadzić własną politykę” oraz że „ceni sobie wyżej dobre stosunki z Andrzejewskim i poklask obcych nam środowisk”.

Lata 1961—1963 Radgowski nazywa „wielkim skokiem” „Polityki”. W 1961 r. nakład wzrósł do 55 tysięcy egzemplarzy; sprzedawano z tego 47 tysięcy. W redakcji wiąże się wzrost nakładów z drukiem *Wyznań mordercy* — zwierzeń hitlerowskiego zbrodniarza Adolfa Eichmanna. Do tekstu tego dotarł Passent i zdobył go

dla „Polityki”; była to rzeczywiście sensacja na miarę światową i sprzedana na sposób światowy. Przekroczona została pewna bariera dzieląca pisma niskonakładowe od wysokonakładowych. Bez Eichmanna skok także by nastąpił. Powodzenie czytelnicze było już bowiem wpisane w los „Polityki”. W roku 62 nakład sięgnął 70 tysięcy egzemplarzy, w 67 doszło do 186 tysięcy. Takie pismo po prostu było potrzebne. Czytelnicy chcieli mieć magazyn polityczny, ów polski „Spiegel”. „Polityka” zaproponowała nową formułę redagowania tygodnika, odeszła od tradycji czasopisma społeczno-kulturalnego adresowanego przede wszystkim do inteligencji humanistycznej, subtelnie rozważającego problemy sztuki, filozofii i literatury. Wymyśliła sposób politykowania, znalazła dlań miejsce i formę w tym systemie politycznym. Dzięki temu dawała swoim czytelnikom poczucie uczestnictwa, a oni zrobili z niej swoją instytucję życia publicznego.

Dochodzimy wreszcie do momentu, w którym możemy oderwać się od dokumentów, starych zszywek i Radgowskiego i sięgnąć do własnej pamięci. Doszliśmy bowiem do lat naszego dojrzewania. Wraz z Beatlesami, winem „Gellala” (33 zł) i wieczorkiem w Hybrydach pojawiła się w naszym życiu w sposób niejako naturalny „Polityka”. Wypadało ją czytać, orientować się na nią, mówić o niej. Ukształtował się bowiem swego rodzaju syndrom „Polityki”.

Co się nań składało? Najpierw chyba pewien wyraźnie demonstrowany gust, pewna elegancja. Z „Polityką” można było wejść do socjalistycznego salonu. I porozmawiać tam z Maxem Frischem, Aragonem, Sartrem, Levi-Straussem. W Warszawie można było być na bieżąco, więc jak w Paryżu. A że salon był lewicowy, to czytało się w nim na głos Sołżenicyna *Jeden dzień Iwana Denisowicza*, Okudźawę, Jewtuszenkę i Wozniesińskiego, Erenburga, Brechta i Babla... Można było w Lublinie poplotkować z Nastulaną jak w Warszawie o warszawskich znakomitościach — pisarzach, artystach i uczonych. Z Iłowieckim podywagować, ku czemu zmierza ludzkość w naszym wieku dwudziestym — wieku zadziwiających osiągnięć nauki. Z Kałużyńskim co tydzień pójść do kina.

Dalej: odkrywanie świata. W reportażach Rakowskiego i Passenta z Ameryki, Kapuścińskiego i Pasierbińskiego z budzącej się właśnie Afryki, Krall ze Związku Radzieckiego, w publicystyce niemieckiej Rakowskiego i Zdanowskiego okazywał się on nieschematyczny, ciekawy, pełen paradoksów i otwartych pytań.

„Polityka” to także nowa, ostra fotografia kraju. W reportażach potrafiła wydobyc prawdę o stosunkach społecznych. Kapuściński wyjechał już w świat, ale został Kozicki. Rozwijają się talent Wróblewskiego, poważnie po powrocie do redakcji Urban. Pojawiają się kobiety — Hanna Krall, Anna Strońska, Barbara W. Olszewska; kształtuje się typ babskiego reportażu „małego realizmu”, który później — już w latach siedemdziesiątych — zrobi karierę. Janusz Rolicki wciela się w skórę konwojenta, likwidatora ZUS, budowlańca i opisuje społeczeństwo „od środka”. Znakomitym przykładem fotografii socjologicznej był cykl artykułów pt. „Dom i kamienica”. Pod pseudonimem Wandy Borkowicz skryła się para małżeńska: Wiesława Grochala i Jerzy Urban. Mieszkali w tzw. plombie wstawionej w przedwojenną zabudowę. I opisali dwa światy — styl życia, myślenia, aspiracje nowej, zmieszczaniałej inteligencji oraz tradycyjnego ludu warszawskiego. Nie możemy odmówić sobie przyjemności przedstawienia próbki tej analizy: „W Kamienicy odbywają się imieniny i chrzciny, w Domu coctaille i oblewania. W Domu grają magnetofony, adaptory i pianina, w Kamienicy radia i harmonie. Do Kamienicy przyjeżdża milicja i pogotowie ratunkowe, a do Domu — delikatesowe, poza tym łatem wozy z zagraniczną rejestracją. W Domu na wnętrza mieszkań składa się po kilkaset książek, wersalki, reprodukcje Picassa, gliniane bibeloty z Cepelii, dywany igłowe, fotele na metalowych prętach, seledynowo-buraczkowe ściany, barki na kółkach, kółka i trójkąty na roletach, składane stoły, rozsuwane regały, czerwono-

ne świece w metalowych świecznikach, a całe to *decorum* służy, wyjąwszy sedes i wannę — reprezentacji. W Kamienicy są po prostu łóżka, stoły, szafy i krzesła, zazwyczaj brzydkie, ale służące li tylko swojemu przeznaczeniu i nie obciążone obowiązkiem dawania świadectwa gustom, zamożności, nowoczesności. Kiedy w Domu piją — zza okien słychać tylko muzykę i widać cienie ludzi w czerni i kobiet w brokatakach. Kiedy w Kamienicy piją — wiadomo, kto z kim, dlaczego i po co, a można też domyślać się — ile”.

„Polityka” to nade wszystko sposób myślenia o społeczeństwie, umiejętność dostrzegania i definiowania zjawisk, stawiania pytań, umiejętność trafiania w sedno. Na przykład akcja pisma „Obywatele, nie jakać się” kontaktuje się z pierwszymi doświadczeniami światowymi pokolenia ówczesnych trzydziestolatków, akcja „Spójrzmy na zegarki” jest w istocie rzeczy walką o sensowną organizację pracy i życia, walką z biurokracją i lekceważeniem ludzi. O demokracji socjalistycznej pisze oczywiście cała prasa, ale pisze apologetycznie. „Polityka” rzeczowo zajmuje się radami narodowymi, starając się dodać im życia i autentyzmu (akcje „Szczęble władzy, szczęble praw”, „Mandatariusze”, pamiętniki radnych). Z kolei „Obywatel dyrektor a dyrektor partyzant” to cykl artykułów przeciwko biurokratycznemu centralizmowi, a jednocześnie ukłon w stronę „kapitanów przemysłu”. „Polityka” będzie ich stałym rzecznikiem. W artykule inicjującym akcję „Ludzie nie meble” Wróblewski pisze: „Opinia publiczna często wytyka palcami durniów, zajmujących tu i ówdzie kierownicze stanowiska, dziwiąc się: jak mogą tolerować takiego kretyna? Musi mieć mocne plecy. Tymczasem często wcale nie o plecy chodzi. Nie ma pleców, ale i nie ma konkurentów. Im słabszy kierownik, tym staranniej będzie odsuwał od konkurencji swoich zdolnych podwładnych”.

Pismo wyczuwa problemy swojej klienteli. Występuje w imieniu nauczycieli, inżynierów, lekarzy, architektów; chce, aby mogli oni robić swoje, aby mieli prestiż. Jest blisko z profesurą (a jeszcze bliżej z docenturą). Przenosi więc na łamy sprawy środowiska naukowego. Po *Feudalach* i *wasalach* Urbana teraz zajmuje się *Doktoratami wielkimi i małymi* — nie zapominajmy, że właśnie zaczyna się moda na tytuły przed nazwiskiem. Doktorem jest już Rakowski. To wtedy Passent obśmiewa słynną dysertację o grze w palanta. Polska krajem ludzi kształcących się — „Polityka” rozpisuje więc konkurs „Studiuję i pracuję zawodowo” i wszczyna akcję „Kochajcie studenta”. Czterdziesto- i trzydziestolatków z redakcji fascynują młodzi. Organizują „Wakacje dwudziestolatków” — obóz dla najmłodszych czytelników.

O trafności pomysłów redakcyjnych świadczyły listy czytelników. W każdej akcji biorą oni aktywny udział. Rubryka „Listy” staje się jedną z najciekawszych.

Polska powoli staje się krajem kultury masowej. Wiadomo, polityczny inteligent żyje nie tylko Sartrem. „Polityka” także chodzi na mecze i siedzi przed telewizorem. Wszczyna akcje: „Polska gola” (nadużycia i niezdrowa atmosfera w polskim sporcie), „Ludzie to kupią” (o rozrywce) i „Idealny na co dzień” (o wzorcach osobowych kultury masowej — wtedy rządzi nią kapitan Klos).

„Polityka” nie mogła nie wyczuć mody na historię najnowszą. Nadaje jej swój styl. Turski odgrzebuje i przywraca pamięci nielukrowaną tradycję lewicy. Wydarzeniom historycznym nadaje ludzkie oblicze. Nagrody „Polityki” za prace o dziejach najnowszych, przyznawane od 1959 r., należą do najbardziej prestiżowych. O historii piszą najwybitniejsi profesorowie. Piszą jednak dla ludzi, bez przypisów i fachowego nudziarstwa.

W ogóle wypada pisać do tego pisma. Teraz nie trzeba już zabiegać o teksty, najlepsi pisarze i uczeni przynoszą je sami. Dzięki temu czytelnik uzyskuje wartościowy przegląd życia umysłowego.

„Polityka” nie tylko odzwierciedla, ale i kształtuje opinię. Jej konik to wychowanie ekonomiczne. Nie jest zachwycona stanem gospodarki, ale też rażą ją ste-

reotypy potocznego myślenia. Przede wszystkim rachuje i przedstawia swoje rachunki publiczności. Szanuje pracę i pieniądz. Irytuje ją niegospodarność i marnotrawstwo. Interesuje się nie przecinaniem wstęgi, lecz konkretnymi efektami. Kleera, Szelię, Wróblewskiego i Gutowskiego męczy polska stagnacja — zastój w materialnym życiu ludzi i brak perspektyw rozwojowych. Marzą o dynamice i modernizmie. Tworzą etos dobrych firm (*Mister Cekop* Szelię). Rehabilitują prywatną inicjatywę (cykl o rzemiośle „Kowalscy bez kowali”). Kupili już pierwsze samochody i życzą tego wszystkim (*Polska samochodowa*). Gdy Gomułka wymyśla ciemne kuchnie i wspólne wygodki, Paszyński proponuje otwartą politykę mieszkaniową, uczynienie z budownictwa mieszkaniowego jednego z głównych celów gospodarki. Ekonomiści z „Polityki” chcieliby ładu w gospodarce, chcieliby jasnej i zbornej, całościowej koncepcji rozwoju. Racjonalizm jest cechą przewodnią w syndromie „Polityki”.

Swoje dziesięciolecie „Polityka” święciła jako pismo sukcesu. W jubileuszowym wstępniku Rakowski pisał: „Praca w »Polityce«, podobnie jak w ogóle w prasie, stwarza możliwości stałego, codziennego, aktywnego uczestniczenia w procesie kształtowania i ulepszania rzeczywistości”. I dodawał: „Nie odmawiamy sobie prawa do indywidualności [...]. Plody pracy i wysiłku dziennikarza stają się bezużyteczne, jeśli wyziera z nich sztampa, jeśli widać w nich jedynie powielenie cudzych myśli”.

Dla indywidualnego, a szczególnie takiego myślenia nadchodziły jednak ciężkie czasy.

Zaczęło się niewinnie. Od sporu w 1963 roku ze Zbigniewem Żaluskim. W swoich książkach, najpełniej w *Siedmiu polskich grzechach głównych*, próbował on przywrócić sens postawom patriotycznym w wersji bohaterskiej. Wyształ tzw. szyderców, a więc ten cały nurt interpretacji polskiej historii, który wykazywał bezużyteczność nie przemyślanych jakoby zrywów i gestów — od *Króla Ubu* w Stodole, przez polską szkołę filmową, aż po *Popioły* Wajdy. „Szyderców” uważał za cyników szkodzących wychowaniu narodowemu. Na takie *dictum* „Polityka” musiała się obruszyć. Najpierw Fikus, potem Koźniewski rzucili się na Żaluskiego. Koźniewski oczywiście przejawiał poglądy adwersarza i wnioski z nich wypływające. „Bezkrytyczne wielbienie historii własnego narodu — i politycznej, i militarnej — to prosta droga do wychowania nacjonalistycznego i szowinistycznego”. Po latach przyzna, że to zdanie było niesprawiedliwe i krzywdzące, że wynikało z przeczulenia. Żaluski bronił się przed zarzutem o nacjonalizm i szowinizm. Domagał się swobody dyskusji, uwolnienia jej od terroru pomówień. Z niewygodnej sytuacji „Polityka” wybrnęła artykułem redakcyjnym *Od grzechów do cnót*. Odwołała pomówienia, zgodziła się, że trzeba dyskutować o ideałach wychowawczych, opowiadała się za realizmem, racjonalizmem i marksizmem w ocenie historii i współczesności. Tradycja narodowa owszem, ale klasowa również. Wartości wyższe — w porządku, potrzebne, ale te głównie, które teraz nadają sens pracy i życiu. Tak czy inaczej: „Widzimy, niezależnie od pewnych różnic poglądów, w tow. Zbigniewie Żaluskim współtowarzysza broni”.

Mogłoby się wydawać, że był to spór jedynie abstrakcyjny, a dyskusja czysto teoretyczna. Wkrótce okazało się, że batalia miała znaczenie polityczne. Zmieniał się układ sił w strukturze władzy. Gomułka żegnał właśnie ostatnich „liberałów”, na scenę polityczną wkroczył generał Moczar z „partyzantami”. Wyraźnie pogarsza się ogólna atmosfera polityczna. Narastają konflikty: z intelektualistami (list trzydziestu czterech — 1964 rok), z Kościołem (obchody Millenium) — 1966. Tworzą się napięcia w gospodarce.

Znowu pojawiają się dwa skrzydła. Aktywizuje się krytyka. Gomułka najpierw zauważa rewizjonizm. Jego wymownym świadectwem ma być książka Adama

Schaffa *Marxizm a jednostka ludzka*. Schaffowi wystarczy odprawa w dyskusji teoretycznej. Gorzej z Uniwersytetem Warszawskim. Tam studenci i partyjni profesorowie znowu — jak przed dziesięciu laty — burzą się. W rocznicę Października wylatują z partii Leszek Kołakowski i Krzysztof Pomian. Na drugim skrzydle są „partyzanci”. Przejmują populizm Natolina, ale uzbrajają go w hasła narodo-patriotyczne. Tym razem Gomułka nie ma co przeciwstawić obu skrzydłom, nie ma programu, jego polityka zużyła się.

No i nadszedł Marzec. „Polityka” ze swoim programem i swoją hipoteką była dogodnym celem ataku: Marzec z jego egalitaryzmem, nacjonalizmem, „antysyjonizmem”, epitetami personalnymi itd. był przecież całkowitym zaprzeczeniem pragmatycznego syndromu „Polityki”. Osamotniona przeszła do defensywy. Rok 68 pamięta się jako najbardziej heroiczny w dziejach pisma. Tak też my, wówczas studenci, ten rok „Polityki” zapamiętaliśmy. Gdy teraz przejrzelśmy zszwykę, ów „heroizm” wydał nam się mdły, wykrętny („Polityka” przedrukowała przecież np. cały referat Kępy z aktywu warszawskiego). Ocenianie tamtego pisma wedle kryteriów dzisiejszej wiedzy byłoby jednak ahistoryczne. Rację ma Radgowski, gdy pisze, iż „Politykę” wyróżniało to, że pewnych rzeczy nie pisała, że nie wdała się w brutalną bijatykę, w antysemityczne epitety. Dzięki temu była inna niż cała ówczesna prasa. Tylko tyle i aż tyle. W każdym razie wystarczająco dużo, żeby redakcję rozpedzić.

Zdawało się, że nastąpi to lada chwila. Najgroźniejszy był atak Wiesława Mysłka, który w wydrukowanym przez „Trybunę Ludu” artykule *Jaki socjalizm i jacy ludzie* podjął zasadniczą polemikę z pomarcowym tekstem Rakowskiego *Ludzie i socjalizm*. Zespół „Polityki” bronił swojej linii w *Odpowiedzi*. Czy jesteśmy pismem „menedżerów”? Czy oderwaliśmy się od klasy robotniczej? Czy prymitywny egalitaryzm może być programem społecznym? Czy jesteśmy apologetami „socjalizmu rynkowego”? Czy lekceważyliśmy pracę społeczników? Czy zapominaliśmy o wychowaniu ideowym? Na te, wywołane zarzutami Mysłka, pytania redakcja odpowiedziała zdecydowanie: nie. Broniła swej linii, odwołując się do swojego dorobku, do konkretnych akcji i artykułów. W jednym z programowych artykułów *Spór od pokoleń* Turski pisał: „Ideały wychowawcze w Polsce socjalistycznej muszą czerpać z przeszłości, ale przede wszystkim muszą wyrastać ze szkoły życia dzisiejszego, wspartego perspektywą, wizją jutra”.

O dziwo, zmasowany napór marcowych arywistów „Polityka” przetrwała, zapewne dzięki Gomułce. I o dziwo, wyszła z tego znowu silniejsza. W walce skonsolidował się zespół. Była to jedna z nielicznych instytucji, w której nie było ani próby zamachu stanu, ani frondy. Pismo straciło co prawda niektórych autorów — tych, którzy już zawsze będą myśleli Marcem, i tych, którzy znaleźli się w kontestacji i za granicą — ale silniej związała się ze swoją bazą społeczną. W ciężkich chwilach czuła sympatię czytelników. To wówczas na dobre ukształtował się jej elektorat, pewna charakterystyczna formacja inteligencji, która była przeciw zaściankowi, autorytaryzmowi, dogmatyzmowi, wsteczniectwu, która ze wstrętem odrzucała prostacką propagandę i brutalizm. I chciała zmiany politycznej.

„Polityka” szuka koncepcji takiej zmiany. Program, teraz już konkretny, zarysowuje się w latach 1969—1970. Jego myśli przewodnie to racjonalizacja kierowania gospodarką i społeczeństwem oraz nowoczesność. Pismo rozwija te myśli, których musiało bronić w Marcu. A więc, przede wszystkim, wprowadzić gospodarkę w ruch przez pobudzenie konsumpcji, zmianę jej struktury (*Smalec czy garsonka?*). Popularny samochód, mieszkanie jako towar, telewizor dla każdego... Niezbędne są skuteczne reformy. Mają one jednak swoich przeciwników — „towarzyszy torysów” (tytuł artykułu Urbana). Sprawiedliwość społeczna to nie prymitywny egalitaryzm (*Zupa z kotła*), lecz rzeczywista równość szans — oświatowych, udziału we władzy,

uczestnictwa w kulturze. Demokracja, spory i dyskusje to warunek trafności podejmowanych decyzji. Kadry decydują o wszystkim — najlepsi w górę.

Wszystkie hasła, pomysły i rozwinięte projekty (np. dotyczące budownictwa mieszkaniowego) zebrane zostały w czterdziestostronicowym programie prac redakcji. „Polityka” przewidywała *To, co zdarzy się jutro*. Artykuł Rakowskiego pod tym tytułem z kwietnia 70 roku był wołaniem o wyrwanie się z zastoju: „Potrzebny jest wielki wysiłek nas wszystkich dla usunięcia trudności opóźniających nasz rozwój i dopasowanie się do warunków dyktowanych przez rewolucję naukowo-techniczną”.

Z taką ideą będzie też szedł do władzy Gierek. Dostał on program „Polityki” i po długiej rozmowie z Rakowskim pozbył się swojej nieufności do pisma. W lata siedemdziesiąte „Polityka” wchodzi na fali nadziei społecznych i zgodnie z kursem politycznym.

Luksusowa sytuacja. Realizm jeszcze raz zwyciężył.

Jeszcze raz okazało się, że „Polityka” wybrała właściwą drogę. Idzie nią teraz razem z Gierkiem i ze społeczeństwem. Bo Gierek po pierwszych trudnych tygodniach przywraca stare ceny, podejmuje różne, od dawna oczekiwane, decyzje. Zapowiada lepsze życie, wprowadza nowy styl. I zyskuje niekwestionowane poparcie. Zgodnie z własnymi przekonaniem i zgodnie z aktualną linią pismo zachęca swych czytelników do działania. Podpowiada, co tu jeszcze można i należy zrobić, propaguje nowy sposób myślenia.

Program ekonomiczny „Polityki” jest już realizowany, przynajmniej w zapowiedziach. Z Grudnia redakcja wyciąga ten wniosek, że trzeba uzdatnić mechanizmy sprawowania władzy. Nie ma takich spraw — pisze Rakowski — które nie mogłyby być przedmiotem publicznej debaty. Trzeba ożywić instytucje demokracji i organizacje społeczne. „Polityka” wypuszcza całą serię artykułów o związkach zawodowych, o Sejmie, o ruchu młodzieżowym (*Przyspieszenie w ruchu*), o stosunkach między partią a administracją (*Łatwiej pchać niż ciągnąć*). Więcej w tych produktach dobrych chęci niż dobrych pomysłów; postulaty są na ogół letnie. Czas walki o instytucjonalne gwarancje jeszcze nie nadszedł. Za gwarancje zdaje się starczać więź kierownictwa ze społeczeństwem.

Pismo zresztą samo tę więź zacieśnia. Po Grudniu przyjaźni się z robotnikami, odwiedza ich w fabrykach i daje im „mówić bez kartki. Wizyty reporterów w zakładach pracy podobne są jednak do wizyt składanych przez ówczesnych przywódców. Brak im po prostu szczerości.

Pojawiają się nowe rubryki i cykle: „Wolna trybuna”, „Mówimy bez kartki”, „Czytelnicy piszą”. Ten ostatni cykl jest dialogiem Rakowskiego z autorami listów do redakcji, to jeden z jego najlepszych okresów. Nazywa rzeczy po imieniu, podejmuje tzw. trudne tematy. Motywem przewodnim tej publicystyki i najbardziej wartościowym wkładem pisma w myślenie pogrudniowe jest domaganie się zmiany polityki kadrowej. Co zrobić, aby właściwy człowiek był na właściwym miejscu? Oczywiście, zdemokratyzować i otworzyć dostęp do stanowisk, dopuścić do konkurencji, wspierać postawy innowacyjne, uznać prawo do ryzyka, ale i egzekwować odpowiedzialność. Do władzy pismo apeluje o zmianę polityki kadrowej, szuka rozwiązań systemowych, wylaniania i premiowania najlepszych (*Sito gubi diamenty*). Do czytelników zaś — aby się starali, aby byli aktywni, samodzielni, niebaldni. Kreuje wzorce nieprzeciętności. Nowe czasy wymagają bowiem nowych postaw i nowych ludzi. „Polityka” funduje nagrodę dla nieprzeciętnych i nowoczesnych, wprowadzających ferment. Pierwsze „Drożdże” przyznaje zespołowi „Życia i Nowoczesności”, który „toruje drogę nie tylko licznym innowacjom techniki i zarządzania, ale także, może nawet przede wszystkim, nowoczesnemu, wolnemu od

mitów myślenia naszego społeczeństwa”. Wkrótce nagrodzony zespół zostanie rozwiązany, właśnie za to, za co otrzymał nagrodę.

Najważniejszym artykułem po Grudniu był Rakowskiego *Dobry fachowiec, ale bezpartyjny*. „W drugim ćwierćwieczu Polski Ludowej nie ma żadnych racjonalnych przesłanek, które by zmuszały nas do uprawiania praktyki powodującej powstawanie społecznego odczucia, iż bez legitymacji partyjnej w kieszeni nie można liczyć na objęcie żadnego stanowiska kierowniczego, a tym bardziej ważnego — w skali powiatu, województwa i państwa”. Rakowski poszedł więc daleko. Wnet miało się okazać, że dalej już nie można.

W okolicach VI (grudzień '71) Zjazdu temperatura pisma obniża się. Bardziej już chodzi o lansowanie haseł („Polityka nowych perspektyw”) niż o nowe pomysły i prawdziwą dyskusję. Dyskutuje się bowiem tylko o tym, czy dzieci mają zaczynać naukę w szóstym czy w siódmym roku życia, czy budować więcej mieszkań małych, czy też mniej dużych.

Redakcja godzi się z tym, że najważniejsza jest stabilizacja, że trzeba umacniać ekipę i jej przywódcę. I zdaje się nie zauważać, że skończyła się rozmowa o reformach politycznych, która zresztą na dobrą sprawę w ogóle się nie zaczęła. Łatwo było zapomnieć o reformach, mechanizmach i gwarancjach, gdy wokół było dobrze i wesoło. Coca-cola, whisky, krakersy, mały fiat i wielki świat...

Ludzie mają więcej pieniędzy, „Polityka” zajmuje się konsumpcją. Twierdzi, że zasobność materialna jest do pogodzenia z socjalizmem, rehabilituje pojęcie luksusu, propaguje wzorce „eleganckiego” posiadania rzeczy.

Państwo ma więcej pieniędzy, buduje się, „Polityka” jest na wszystkich sztan-darowych budowach. Zachłystuje się ich nowoczesnością porównywalną z Zachodem.

Stale motywy publicystyki to: kadry menedżerskie, jakość i organizacja pracy, nauka.

Od czasu do czasu rzeczywistość zaskrzeczy. Najgłośniej, jak zawsze, skrzeczy w mieszkaniach, których ciągle jest za mało. Paszyński dostrzega, że mimo przyspieszenia budownictwa kolejka nie zmniejsza się. Hłowiecki zagląda za fasadę życia naukowego, gdzie wiele „hucpy” i sztucznych autorytetów. Niepokoi „Politykę” tendencja represyjna w polityce karnej, przeciwko niej zdecydowanie występuje. Od optymistycznej, konstruktywnej publicystyki odbiegają smutne na ogół reportaże. Krall, Strońska, Olszewska, Wesołowska pokazują, że nie wszystkim jest dobrze, że ludzie są uwikłani w układy niemożności, że są bezradni wobec instytucji i klik.

W tych latach „Polityka” ma mocną pozycję polityczną. Rakowski jest silny. Pismo na pewno należy do *establishmentu*, koleguje się z ministrami i sekretarzami. Jego redaktorzy mają już nazwiska, jeżdżą po kraju i świecie z dobrymi mianami, z pewnością siebie i z poczuciem własnej wartości. Kochani są przez „najlepsze” kobiety i najbardziej wpływowych polityków.

Ale i wtedy mają wpadki. Najbardziej zostali skarceni za wydrukowanie story Małgorzaty Szejnert *Mitra pod kapeluszem* — o powojennych losach polskiej arystokracji.

Mamy erę odprężenia, a „Polityka” zawsze przecież starała się być pismem międzynarodowego dialogu. Teraz zyskuje międzynarodowy prestiż, dużo podróży, przyjmuje wizyty, jest światowa.

W epoce sukcesu odnosi też sukces „Polityka”. Nie jest już tak niespokojna, jak w latach sześćdziesiątych, tak twórcza, ale jest dobrze redagowana, czuje tematy, zainteresowania, mody kultury masowej i życia umysłowego. Zespół jest już całkowicie ustabilizowany, pewny siebie. Kooptuje kilka nowych osób: Jacka Ma-

ziarskiego, Wandę Falkowską, Wojciecha Gielżyńskiego, Martę Wesołowską, Adama Krzemińskiego, Annę Matalowską, Zbigniewa Mentzla, Andrzeja Mozołowskiego. W 1975 roku Passent przestaje być Bywalcem, czyli zjadliwym podglądaczem życia salonowego, i staje się regularnym Passentem na ostatniej stronie. Od 70 roku zastępcą redaktora naczelnego jest Jan Bijak.

Pismo się rusza. Daje dużo informacji, organizuje redakcyjne dyskusje na najróżniejsze tematy, ma swoich ankietów i na wzór wielkich tygodników zachodnich sonduje opinię publiczną. Mniej jest jednak udanych inicjatyw, wziętych haseł, jak np. to „Uczy się choćby od diabła”. Po dodatku „Polityka—Statystyka” pojawiają się nowe: „Polityka—Export—Import” i „Polityka—Książki”. Pismo nie jest może już tak pasjonujące, ale na pewno jest interesujące. Jest dobrym towarem.

I dobrze się sprzedaje. W 70 roku miało 200 tysięcy nakładu, rok później już 280 tysięcy. Jest pismem masowym. Do starych czytelników dołączyli nowi, młodzi. „Polityka” należy do elementarnego wyposażenia inteligentnych gospodarstw domowych, nie tylko w Warszawie, Krakowie i Gdańsku, ale także w Skarżysku Kamiennej i Tychach.

Pierwsze pięciolecie Gierka wieńczył sukces. Wszystkie wskaźniki planu zostały przekroczone. Nikt nie miał wątpliwości, że w roku 1980 będzie jeszcze lepiej. „Dokonując oceny tego okresu, partia ma uzasadnione prawo do dumy” — pisał Rakowski. A Wajda w rozmowie z Urbanem z przekonaniem twierdził, że oczekiwania ludzi zostały przez Gierka spełnione. I że będzie jeszcze lepiej. „Inwestycje muszą dać rezultaty. Nie mam żadnych wątpliwości, że znajdziemy się w gospodarczej czołówce”. Martwiło go tylko to, „czy społeczeństwo syte nie stanie się także u nas społeczeństwem sfrustrowanym”.

A tu tymczasem frustracja wystąpiła z powodu niedosytu. W roku 1976 sen o sukcesie zakończył się gwałtownym przebudzeniem. Najpierw, jak zwykle, były kłopoty z intelektualistami, potem z cukrem. A potem, jak zwykle, z robotnikami. Protesty przeciwko zmianom w konstytucji, Ursus i Radom, powstanie KOR... Ludzie są rozczarowani i niezadowoleni, władza się kompromituje, propaganda irytuje.

„Polityka” też budzi się do życia i próbuje odnaleźć się w tym wszystkim. Tak się zaangażowała w Gierka, że musi teraz bronić swojej legitymacji. Tłumaczy więc, że alternatywy dla „polityki dynamicznego rozwoju” nie było, że mimo wszystko wiele osiągnięto itd. (artykuł Alfreda Łosia — to pseudonim! pt. *Plakaty, a broniły* przedstawiający wydarzenia w Radomiu jako wyłącznie warcholskie wzbudził niesmak na mieście i opory w redakcji). Broni Gierka, uważa, że może on jeszcze zreperować rozregulowany mechanizm. Strategia dobra, szwankuje wykonanie. Pismo znów stara się skontaktować z nastrojami społecznymi, pisać, co ludzie mówią i jakie naprawdę mają kłopoty. Apeluje do władzy, żeby przedsięwzięła jakieś reformy, zaś ludzi wychowuje. Łapie Gierka za słowo i domaga się demokratyzacji. Ludziom zaś mówi: przyjrzyjcie się sobie, jacy wy, taka władza, bez was cudu nie dokona.

Rakowski podejmuje znowu dialog z czytelnikami, tym razem w cyklu „Nasze polskie sprawy”. *Zachować umiar* — wzywa — zarówno w krytyce władzy, jak i w kwalifikowaniu tej krytyki jako antysocjalistycznej. Wykłada *Obowiązki obywateli* — obywateli wobec państwa i państwa wobec obywateli. Maziarski pisuje demokratyczne homilie, ale też wygłasza kazania o dyscyplinie (*Sprężyny porządku*). Decentralizacja i praworzędność (Podemski rozpoczyna swój cykl „Paragraf pierwszej potrzeby”). Wady Polaków (wiele píše „Polityka” o historycznych przyczynach narodowych i zacofaniu mentalnym), ale też patologie władzy. Pawłowski i Wesołowska składają np. sprawozdanie z bankietu urządzanego w Novotelu za państwowe pieniądze dla elity biura projektowego i jego zwierzchników. Radgowski

obnaża tzw. działalność pozorną. Urban stara się co nieco powiedzieć o przywilejach. „Pozapieniężne przywileje tworzą bardziej nieprzekraczalne różnice społeczne niż stopień zamożności”.

Manewr gospodarczy nie wychodzi, manewru politycznego władza, wbrew sugestiom „Polityki”, nie chce, czy też nie potrafi przeprowadzić. Pismo jest w trudnej sytuacji. Na górze jest oskarżone o czarnowidztwo, o krecią robotę. Łukasiewicz nie cierpi Rakowskiego, który mu te uczucia odwzajemnia. Wydział Prasy wygotowuje miążdzącą ocenę linii redakcyjnej. W 1978 r. pada rekord ingerencji cenzury: „korygowana” jest praca jury nagród historycznych. Ciężko coś przepechnąć.

Część warszawskich kół opiniotwórczych, z którymi redakcja zawsze była zżyta, także odwraca się od „Polityki”. Popiera akcje KOR, TKKN. „Polityka” jakby nie dostrzegała przemian mentalności w środowiskach inteligenckich; traci zdolność porozumiewania się z młodzieżą, zdaje się nie rozumieć znaczenia i konsekwencji wizyty papieża. Redaktorzy ze spotkań z czytelnikami przychodzą smętni, nie są już ulubionymi bohaterami, muszą się tłumaczyć, a nie bardzo wiedzą, jak. Stają się anachroniczni. Napięcia powstają także wewnątrz redakcji. Zarysowuje się podział na pragmatyków polityki i tych, którym ta pragmatyka już nie wystarcza, na zimnych i na wrażliwych.

Teraz, inaczej niż w końcu lat sześćdziesiątych, „Polityka” nie ma pomysłu na program, nie potrafi wyobrazić sobie przyszłości. Wiedzą jedno, że krach się zbliża. Tkają więc nerwowo swój mały realizm, nie potrafią zdobyć się na wielki.

Nowy Rok 1979 był dniem kłęski nazwanej żywiołową. Dziesiąte, a może nawet dziewiąte mocarstwo świata nagle zamarzło. W tego Sylwestra skończył się bal. „Polityce” tuż przed północą pękła rura, woda zalała archiwum i wytrysnęła w dziale naukowym.

O prawdziwej kłęsce oczywiście nie można było pisać. Więc pisać w ogóle przestali. „Polityka” przestaje być pismem politycznym, „bierze na przeczekanie”. Dużo miejsca poświęca kulturze, pisze o świecie. Drukuje letnie „pozytywki”. Nerw pokazuje w dyskusji „Twardo donikąd”. Początek dał jej napisany w redakcji list („kilku ludzi pełniących funkcje kierownicze w zakładzie przemysłowym w B.”). Pytano w nim, „czy i u nas nie byłoby lepiej stworzyć drobną warstwę bezrobotnych, która sama swoim istnieniem zmuszałaby innych do większej dokładności i sumienności”. Prowokacja udała się, dyskusja była prawdziwa. Wypowiadający się w niej odrzucali sugestię „kierowników z B.”, pisali natomiast o wadach organizacji pracy i zarządzania, krytykowali mechanizmy nie wymuszające dobrej pracy. Dyskusję podsumował Urban: „Wiele razy w dziejach dochodziliśmy do podobnych wniosków o niezbędności reform i wiele razy działo się tak, że praktyczne trudności i napięcia skłaniały do osłabienia tempa tych przemian”.

W końcu lat siedemdziesiątych „Polityka” ma jednak te 300 tysięcy nakładu. Jest nadal atrakcyjna dla czytelników i dla dziennikarzy. Przychodzą do redakcji: Magdalena Bajer i Danuta Zagrodzka, Michał Jaranowski, Witold Pawłowski, Barbara Pietkiewicz, Piotr Moszyński, Ernest Skalski.

Był kryzys. W okolicach VIII Zjazdu trochę prasie popuszczono. „Polityka” natychmiast wykorzystuje te możliwości, drukuje artykuły o rzeczywistości podstawowych problemach: o warunkach życia robotników i o blokadzie ich aspiracji obywatelskich, o konieczności przywrócenia sprawiedliwości społecznej, o potrzebie reform strukturalnych w gospodarce. W przeddzień zjazdu pisze: reforma gospodarki jest niemożliwa bez zmian w stosunkach społecznych, bez demokratyzacji.

Na wszystko było już za późno. Babiuch nie pomógł, nadeszło lato. 5 lipca Rakowski drukuje swój artykuł *Ludzie i gospodarka*: sytuacja gospodarcza jest dramatyczna, trzeba społeczeństwu powiedzieć całą prawdę, trzeba natychmiast przy-

gotować koncepcję zmian i natychmiast wprowadzić ją w życie. Nie ma już czasu do stracenia.

Czas był już nie do odrobienia. Już stanęły autobusy w Warszawie, już gotował się do strajku Lublin...

I już był Sierpień. I nie wiadomo było, co robić. Nie wpadać w panikę, myśleć politycznie, aby zapobiec konfrontacji — pisze Rakowski. Wreszcie porozumienia. Teraz najważniejsze jest — to znowu Rakowski — pełne wykonanie przez władze przyjętych przez siebie zobowiązań. „Tak więc największego znaczenia zarówno dziś, jutro, jak i pojutrze nabiera słowo »wiarygodność«”. Nie ma innej drogi do odbudowy zaufania pomiędzy społeczeństwem i władzą. „Potrzebny jest nam trzeźwy realizm, ponieważ wszyscy zdajemy surowy egzamin z odpowiedzialności za państwo polskie”.

W pierwszych miesiącach po Sierpniu trzeba się uczyć życia w nowej sytuacji. „Polityka” wie, że najważniejsze jest znalezienie miejsca dla „Solidarności” w systemie politycznym. W tym widzi szansę na odnowienie socjalizmu. Dlatego też wzywa obie strony: respektować porozumienia, nie przesadzać i nie przechytzać. Tworzy teorię równowagi, partnerstwa jako podstawy nowego ładu. Równowaga jest krucha, od samego początku naruszana. Pojawia się więc pytanie: kto pierwszy i kto bardziej złamał umowę, kto zaczął, kogo trzeba powściągać. A odpowiedź na to pytanie to już jest opcja polityczna. „Polityka” nie jest zadowolona z działania władzy w pierwszych posierpniowych miesiącach. Wytyka jej opieszałość, brak konsekwencji, przewagę taktyki nad strategią. Ale bardziej niepokoi ją „Solidarność”. „Słabnącym członem systemu równowagi w kraju jest władza państwowa” — twierdzi Urban. I dlatego właśnie teraz trzeba popierać władzę (Gorączka). Temu wyborowi „Polityka” będzie wierna aż do 13 grudnia. Do rządu wejdzie jednak z hasłem „Szanować partnera”. Na pytanie: „Kto w tym z trudem montowanym układzie partnerskim winien przejawiać najwięcej cierpliwości, zrozumienia argumentów drugiej strony oraz spokoju i godności nawet w przypadkach, gdy partner jest nieznośny?”, Rakowski odpowiada zdecydowanie — oczywiście władza.

Rzeczywistość nie poddaje się, wbrew zaleceniom Urbana, „dyscyplinie rachunkowej”. Racjonalizm „Polityki”, niechęć do zachowań emocjonalnych i do myślenia życzeniowego wystawia ją na krytykę. Obrywa ze wszystkich stron. Chce iść „środkiem drogi”, a to się okazuje balansowaniem na linie. Środek jest w modzie, ale każdy ten środek widzi gdzie indziej. „Polityka” widzi go w rządzie. Od czasu, gdy Rakowski został wicepremierem, uznawana jest za organ rządowy.

„Polityka” wyraźnie stawia na rządową reformę gospodarczą i na reformę partii. Jest przeciwko zbyt daleko idącym postulatom politycznym z jednej strony i przeciwko betonowi z drugiej. Musi grać *W dwa ognie* (Passent). Stara się swoim zwyczajem wyważać proporcje. Być, jak powiada Passent, nie neutralna, ale obiektywna. Jako pierwsze pismo oficjalne daje się wypowiedzieć założycielom „Solidarności” ze Szczecina, Gdańska i ze Śląska; rozmawia z Glempelem, Wałęsą i Geremkiem. Lęka się konfrontacji i jej następstw międzynarodowych. Drukuje studium Janusza Reykowskiego *Rozum i serce*, w którym profesor rekonstruuje stanowiska stron konfliktu i ich psychologiczne uzasadnienia oraz przestrzega przed konsekwencjami narastania „afektywnej polaryzacji”.

Passent wzywa do kompromisu historycznego, do wielkiej koalicji, która zdolna byłaby dać *Gwarancje Polaków i dla Polaków*. Wezwań już nikt nie słuchał.

W numerze z 12 grudnia 1981 r. ukazuje się artykuł Wróblewskiego *Za ciasno w jednej Polsce* — głos jednego z centrystów, „którzy usiłują zrozumieć motywy obydwu stron, ale rozumieją, że Polska jest tylko jedna i że w ten sposób się w niej nie pomieścimy”. Centryści wiedzą o swej klęsce: „Z rozpaczliwym uporem

i za namową wielu czytelników, którzy identyfikują się z tym stanowiskiem, ale szczerze mówiąc bez wielkiej nadziei powtarzam to, co nieraz mówiliśmy i pisaliśmy: z chwilą kiedy się podzielimy na obozy, kiedy kto nie z nami, ten przeciw nam, kiedy zniknie amortyzator obopólnego zaufania — jesteśmy skazani na wojnę domową”.

Te słowa zamknęły kolejny, dramatyczny okres w dziejach „Polityki”. Można by o nim napisać osobną książkę. Materiału by starczyło. Zaslugałyby na przypomnienie dyskusje ekonomistów i sprowokowana przez Krzemińskiego dyskusja o kondycji i odpowiedzialności polskiego intelektualisty *Między fasadą a tyłami*. Nie straciły aktualności rozważania o wartościach, autorytetach i samorządzie w nauce. I naprawdę pasjonujące byłoby bardziej dokładne, niż mogliśmy to uczynić, prześledzenie rozwijającego się myślenia politycznego, definiowania i wykładania racji. Był to na pewno jeden z najlepszych okresów w dziejach pisma.

Ciężko było je redagować w ciągu tych szesnastu miesięcy. Zespół także był poddany zewnętrznym ciśnieniom. Pokój kolegium przestał być jedynym układem odniesienia. Fikus i Iłowiecki weszli do władz SDP i stamtąd przede wszystkim patrzyli na rozwój wypadków. Rakowski, a później Urban spoglądali z URM. Fal-kowskiej i Skalskiemu „Polityki” nie starczyło — przenieśli się do tygodnika „Solidarność”. Pogłębił się w redakcji podział na zimnych i wrażliwych. Wiemy o tym z relacji, a przecież w starych numerach pisma tych różnic nie widać albo prawie nie widać. Bo pismo, jak zawsze, było dobrze redagowane, a poza tym wszyscy, niezależnie od tego, dokąd historia ich prowadziła, byli — jak na tamte czasy — umiarkowani.

Spotkali się 19 grudnia u Wróblewskiego, potem 28 u Passenta. Co dalej? Najbardziej nieoczekiwanie dla wszystkich Wróblewski powiedział, że „Polityka” się skończyła, że nie powinno się jej wskrzeszać. Innego zdania był Passent. „Polityka” — twierdził — jest instytucją. Nie my jesteśmy jej właścicielami, lecz czytelnicy. Pismo jest im potrzebne. Jest ciężko, ale trzeba próbować robić swoje. Takie były dwa zasadnicze stanowiska. Między nimi wybierał zespół. Nie musieli przechodzić weryfikacji, wybierali sami. Rakowski był gotów rozmawiać z każdym i pytać o decyzję. Opuściło „Politykę” 14 osób: Piotr Adamczewski (po dwóch latach wróci), Tadeusz Drewnowski, Magdalena Bajer, Maciej Iłowiecki, Aleksander Paszyński, Krystyna Nastulanka, Michał Radgowski, Anna Stronńska, Hanna Krall, Andrzej Krzysztof Wróblewski, Danuta Zagrodzka, Zbigniew Mentzel i Dariusz Fikus. W inną stronę odeszli Jerzy Urban.

Ci, którzy zostali, przygotowali jeszcze jeden pierwszy numer pisma. 20 lutego „Polityka” znowu pojawiła się w kioskach. W stopce zamiast nazwisk członków kolegium lakoniczna informacja: „Redaguje Mieczysław F. Rakowski z zespołem”. Na ostatniej stronie Passent: „Co tam, panie w »Polityce«”. Wykłada racje tych, którzy odeszli, i tych, którzy zostali.

9 września, po 24 latach kierowania „Polityką”, odchodzi Rakowski. Jego następcą zostaje Bijak. „W odróżnieniu od MFR działa przede wszystkim w »Polityce« przez duże »P«” (Passent).

Po wznowieniu wydawania pisma prenumeratorzy odsyłali jego egzemplarze. Niechęć ta szybko jednak została przełamana. W 1987 roku „Polityka” rozchodzi się w nakładzie 360 tysięcy egzemplarzy, prawie bez zwrotów, a więc realny zasięg oddziaływania społecznego może być obliczony na mniej więcej milion czytelników.

Pismo szuka nowej formuły i nowych współpracowników, na miejsce tych, którzy odeszli. Przychodzą młodzi, aczkolwiek już z pewnym stażem, dziennikarze: Jacek Mojkowski, Wojciech Markiewicz, Jerzy Baczyński, Jacek Poprzeczko, Piotr Sarzyński. Redakcję zasilają też: Andrzej Garlicki (z rozwiązanej „Kultury”),

Marek Rostocki (z „Przeglądu Technicznego”), Ewa Nowakowska, Dobrochna Kędzierska; przez pewien czas związani są z nią także: Tomasz Raczek, Anna Romaszkan, Jagienka Wilczak, Agata Bleja. W 1985 roku wraca do pisma — po trzyletniej przygodzie z „Tu i teraz” — Kazimierz Koźniewski, wraz z nim przychodzą Zbysław Rykowski i Wiesław Władyka. „Polityka” pozyskuje dwóch felietonistów. Miejsce Radgowskiego na ostatniej kolumnie — pod Passentem — zajmuje KTT ze swoją „Kuchnią polską”, którą przez wiele lat prowadził w „Kulturze”. Felietony Ryszarda Marka Grońskiego są stałą pozycją nowej kolumny „Fusy, plusy i minusy”, która zbiera różnego typu i rodzaju „michałki” dziennikarskie — interwencje i polemiki. Miejsce felietonu rysunkowego Andrzeja Mleczki na ostatniej stronie, który cieszył się olbrzymią popularnością w poprzedniej dekadzie, zajęły teraz wiersze-fraszki Jonasza Kofty.

Z badań ankietowych wynika, że linia pisma jest przez czytelników akceptowana, że nadal cieszy się ono ich zaufaniem. Tygodnik bliższy jest teraz formule magazynu informacyjnego, zresztą zdaje się, że w tym kierunku przebiegają zmiany w całej prasie, nie tylko polskiej. Siabnie publicystyka i reportaż, mocno stoi dział ekonomiczny (może dlatego, że Polskę trawi kryzys?). Funkcje opiniotwórcze przejmują felietoniści, ich teksty są bardzo solenne, długie, odnoszą się do najbardziej istotnych kwestii polityki i życia społecznego. Można powiedzieć, iż ostatnia kolumna pisma przejmuje rolę pierwszej.

„Polityka” szuka nowej formuły redakcyjnej, szuka też długofalowej koncepcji programowej. Jest walcząca, wchodzi w spory polityczne, broni reformy gospodarczej, opowiada się za europeizacją polityki zagranicznej i kultury polskiej, jak zawsze jest realistyczna i pragmatyczna — czy to w sprawach animujących środowiska twórcze, czy w konkretnych kwestiach gospodarczych i zarządzania, polityki społecznej. Ma jednak ewidentny kłopot z wypracowaniem perspektywicznego programu i nowego, nowoczesnego sposobu myślenia. Zdaje się, że znajduje się w „okresie przejściowym”.

Dzisiejsza „Polityka” jest bez wątplenia pod wieloma względami inna niż ta sprzed sześciu lat. Ale przecież tamta różniła się od tej z lat siedemdziesiątych czy od tej z lat sześćdziesiątych. Gdyby pismo się nie zmieniało, byłoby czytane jedynie w archiwum. A poza tym, tygodnik robi się przecież co tydzień. Są zmiany dyktowane przez historię i są fluktuacje, zdarzenia, incydenty. Są zmiany chciane i zmiany wymuszone. Co tydzień drukuje się 200 stron maszynopisu, czyli rocznie 52 książki. W ciągu trzydziestu lat przewinęło się przez łamy „Polityki” tysiące autorów. Przyjaciele pisma stawali się jego wrogami, wrogowie przyjaciółmi.

A przecież mimo wszystkich tych zmian „Polityka” starała się być sobą. W zmieniających się, trudnych sytuacjach odnajdywała ten sam własny styl myślenia. Jemu i swoim gustom była wierna.

Zawsze była za demokracją, praworządnością, postępowaniem cywilizacyjnym. Odwołując się do tradycyjnych wartości polskiej lewicy, szukała możliwości praktycznego ich urzeczywistnienia. Nie była i nie jest pismem demagogii, apeli i górnolotnych haseł. Interesowały ją zmiany konieczne i możliwe. Dzięki temu trafiała w oczekiwania czytelników. Od nich szły zawsze impulsy, oni weryfikowali redakcyjne pomysły, sprawdzali redakcję na ziemię, gdy zdarzało się jej zapominać o wartościach albo o realiach. Oni dawali i dają „Polityce” siłę.

Etos „Polityki” jest trudny może do opisanego, ale łatwy do odczytania. Wedle niego dobierają się ludzie. Jest dziedziczny, zapewnia ciągłość. W dzisiejszej redakcji spotykają się trzy pokolenia. Ci, którzy pismo zakładali, ci, którzy tworzyli jego świetność, i ci, którzy na „Polityce” się wychowali.